

# Dawid Brykalski - Opowieści Mścisławowych

## EPIZOD VI

Dedykowany z należytą galanterią i szacunkiem  
Magdalenie Kowalczyk

O tym, jak Mścisław po raz pierwszy coś sobie złamał

A było to tak: zmierzchało, powoli bo powoli, ale robiło się coraz szarzej i szarzej. Nie przeszkadzało to ani gromadnie przybyłej tłuszczy, ani walczącym.

Zwycięzał jak zwykle Mścisław. Zaczynało go to już serdecznie nudzić, ale podpisał kontrakt i honor nie pozwalał zerwać umowy przed terminem.

Właśnie wymknął się spod rzuconej sieci. Odbił płazem celujący w jego twarz trójzęb i nagłym wyrzutem ramienia wraził ostrze w pierś przeciwnika. Zakrwawiony czubek miecza efektownie wyszedł z pleców konającego.

Brawa jakie zebrał były Mścisławowi zupełnie obojętne. Piszczących pańienek skrycie nienawidził. Żał mu było wyłącznie ludzi, których musiał zabijać. Przebywając wspólnie na kwaterach polubił niektórych. Podczas co tygodniowych spektakli nie było jednak miejsca na sentymenty. Przyjaźni wszak w pracy nie ma. Nagrodę zabierał ten, który pozostawał przy życiu. Gladiatorzy zawierali przymierze tylko wtedy, gdy musieli walczyć ze zwierzętami. Pewno, przyjemniej by było pogalopować na ukochanym rumaku po leppardowskich łąkach. Gdzie tam! Wpierw obowiązki. Trzeba zakończyć dzisiejsze przedstawienie. Szczęściem pozostał jeszcze jeden przeciwnik. Ów dobijał właśnie jakiegoś nieszczęśnika. Sądząc po precyzji z jaką to czynił mógł być groźny. Dla każdego z wyjątkiem Mścisława. On obawiał się wyłącznie nudy, bezczynności i gnuśności. Uprzejmie czekał, aż tamten skończy.

Słońce tymczasem po raz ostatni odbiło się w ostrzu topora i z godnością schowało oblicze za horyzontem. Topór (choć lepsze byłoby określenie wielka siekiera) opadł również ostatni raz i na polu walki pozostało dwóch przeciwników: Mścisław i Tendrugi. Z reguły takie historie kończą się śmiercią tego ostatniego. Wiedzieli o tym i gapie, i heros. Tegodrugiego nikt o zdanie nie pytał. Jego obowiązkiem było zginąć. Mógł co najwyżej urozmaicić trochę przebieg walki. Dla przykładu, porwać kogoś, drasnąć Mścisława, albo zranić jakiegoś nieostrożnego kibica. Takie chwytły polepszają dramaturgię i dodają pikanterii.

Nie dojdzie się czy w złą minutę pomyślane, czy też antagonistą Mścisława samodzielnie wpadł na ten pomysł. Faktem jest, że obrzucił bohatera jednym, nawet nie przelotnym spojrzeniem, wykonał w tył zwrot i ruszył w stronę barierki. Nie na darmo mawiano, że sława imienia Mścisława wyprzedza jego samego.

Herój ani myślał gonić za uciekającym. Przecież i tak żaden krwi tłum nie wypuści go z areny. Gladiator okazał się jednak chytrzejszy niż przypuszczano. Dobiegnąwszy do ludzi nie wdał się z nimi w bezcelową szarpaninę, od razu wyciągnął upatrzoną wcześniej ofiarę. Była to - jakże mogło być inaczej - urodziwa dziewczyna. Nie opierała się specjalnie, a krzycheć o pomoc krzychała tyle, ile trzeba. Każdej kobiecie musi być miłe grać rolę ratowanej od zbója dziewczycy. A gdy jeszcze taki charakterny rycerz ma z opresji wyciągać, to już sama przyjemność.

Mścislaw zmrużył oczy, oceniał. Nie, nie wyrwany spośród tłuszczy towar, choć sylwetka i twarz dziewczyny wydały mu się znajome. Przypatrywał się współzawodnikowi i rozważał czy więcej w nim głupoty czy bezczelności.

Trzymający pod ostrzem dziewczynę wojak wrzasnął coś, że się klnie i jeszcze o śmierci niewinnej. Na koniec dodał, żeby rzucić broń.

Zabrzmiało na tyle niezrozumiale, dzięki czemu groźnie, że gapie przestali komentować. Uciszyli się, co im się zdarzało stosunkowo rzadko. Zebranych dobiegł cichutki szloch porwanej. Biedaczka, musiała dobrze wczuć się w rolę.

Mężne serce Mścislawa po raz pierwszy - jak się okaże nie ostatni! - wykonało niekontrolowany skok w okolice gardła, po czym powróciło do normalnego pompowania błękitno-karminowej szlacheckiej krwi. Na ratowaniu dziewczyc z łap różnego autoramentu plugawców znał się Mścislaw jak mało kto. Odrzucił precz tarczę, miecz i nóż. Żeby okazać pogardę dla śmierci zdjął też rogaty hełm i wdeptał go w piasek. Na widok jego przystojnego lica kilkanaście stojących najbliżej nastoletnich fanek zemdlało. Pozostałe zaczęły histerycznie wrzeszczeć.

Przeciwnik dostrzegł swoją szansę. Porzucił nadal łkającą dziewczynę (waleczne serce Mścislawa ponownie zgubiło normalny rytm pracy) i natarł na ulubienica żeńskiej części publiczności. Mimo, że atakował jak rozjuszony byk, i mimo że był uzbrojony w siekiere i nóż, nie miał zbyt dużych szans. Lecz nikt nie był łaskaw go o tym uprzedzić.

Sławny bohater uchylał się przed spadającymi jak grad ciosami. Skulił się pod cięciem w głowę. Wyczekał drugie zadane w nogi i postanowił zakończyć tę niesprawiedliwą walkę. Tuż przed tym, nim ostrze sięgnęło by kolan skoczył. Efektownym wyskokiem przesadził przeciwnika i znalazłszy się za jego plecami chwycił go w nelsona.

Tłum westchnął jednym zgodnym "ach". Kilka panien, które nie zdążyły zrobić tego wcześniej, zasłabło z wrażenia.

Niedoszły porywacz tłamszony i duszony ryknął wściekliwie. Próba dziabnięcia Mścislawa w krocze spełzła na niczym. Czarodziej Fryderyk postanowił tego nie komentować, bo tymczasem obaj zwarci męże zaczęli sapać z wysiłku. Poczzerwienieli na twarzach, zalały ich ósme poty, żyły nabrzmiały na karkach. Nieugięty Mścislaw naciskał z całych sił, a Tendrugi starał się nie poddawać. Trzymany w stalowym chwycie już wcześniej odrzucił zbędny oręż. Złapał mścislawowe ramię i starał się je odgiąć od swojej szyi. Wysilek znać było po zaciśniętych zębach i wyłazających z orbit oczu.

Po pewnym czasie znudzeni monotonią wieśniacy zaczęli wznosić nieprzyzwoite okrzyki, a co śmielsi rzucać pomidorami.

Zapomniana chwilowo dziewczyna otarła łzy, by móc przyglądać się walce. Dla przyzwoitości od czasu do czasu pociągała nosem.

Kmiecie poganiali ich coraz natarczywiej, nie chcieli wracać po ciemku do domów.

I stało się. Coś chrupnęło, trzasło niczym łamiąca się gałąź. Głowa gnębiciela dziewic zawisła bezwładnie. Mścisław wznosił ręce w zwyczajnym geście. Nie było potrzeby dobijać przeciwnika. Złamany kark, który to już z kolei?, zakończył dzień pracy.

Ludziska byli mu wdzięczni, usatysfakcjonowani mogli sobie pójść. Tłoczyli się przy bramach, a co bardziej niepokorni wdawali się w przepychanki ze strażą miejską. W tym rozgardiaszu nikt nie zwrócił uwagi, że lewa ręka herosa była zgięta pod kątem, mówić oględnie, niezbyt naturalnym.

Mścisław pozwolił sobie nie zwrócić uwagi na ból promieniujący z przedramienia, ale żeby go sobie jakoś zrekompensować kopnął ciało pokonanego. Nie drgnęło nawet, znaczy się będzie premia. Czekał go jeszcze jeden obowiązek; musiał zająć się pokrzywdzonymi i uciśnionymi. Zbliżył się do nadal klęczącej w piachu dziewoi. Jeśli nawet odczuwała coś na kształt wdzięczności pomieszanej z podziwem, nie była skora do rzucania się wybawcy na szyję.

Pomocnicy - krępe gobliny - zbierali z areny ciała pokonanych. Któryś podbiegł do Mścislawa i spytał czy nie jest czasem ranny. Zbył go machnięciem ręki i skrzywił się z bólu. Nie interesował go nikt oprócz stojącej przed nim uroczej osobki.

"Nawet nie wiem jak masz na imię". Ni to spytał, ni stwierdził. Nigdy się nie opanował trudnej sztuki rozmawiania z pięknymi kobietami.

Migdalina - bo takie imię nosiła wybawiona, należała do osób spostrzegawczych. Obdarzając bohatera uśmiechem, od którego każdy prawdziwy mężczyzna mięknął nie tylko w kolanach, stwierdziła, że kość przedramienia jest złamana, i że natychmiast trzeba iść do cyrulika.

Heros dał się prowadzić za zdrową rękę, niby małe dziecko. Tak to już bywa z facetami, którzy kombinują jak zajrzeć głębiej w i tak bardzo śmiały dekolt.

Nie była głupią blondynką, która dba tylko o siebie i oto by wciąż ją podziwiano. Kolor włosów miała w zwyczaju zmieniać równie często co bieliznę, więc naturalny odcień jakby nie istniał.

Nie młody już znachor, do którego zakładu zabrała upolowanego wojownika cierpliwie wysłuchał wyjaśnień Migdaliny. Następnie spytał z odrobiną ironii "doprawdy?" i zajął się mściślawową kontuzją. Sprawnie złożył kość, posmarował aromatyczną maścią, założył zgrabne łupki i całość zawinął w czysty bandaż. Gdy podawał cenę usługi dodał, mrugając porozumiewawczo, że do wesela się zagoi.

Nie całkiem sprawny Mściśław nie byłby sobą gdyby się lenił. Na drugi dzień, jak i we wszystkie poprzednie, pojechał na swym wiernym jednorożcu - Czesławie - do roboty. Ubijanie współpracowników szło mu trochę oporniej, ale wzbudzało dzięki temu większe emocje. Szefowi, mimo początkowych zastrzeżeń też się podobało. Najbardziej wzrastające wpływy do kasy. Równocześnie, jakoś tak się składało, że coraz częściej w pobliżu Mściśława pojawiała się Migdalina. On sam, chociaż nie potrafił ukryć zakłopotania też od niej nie stronił.

Z racji wykonywanego zawodu gladiatorzy lubią się dobrze zabawić. Chcą jak najprzyjemniej spędzić, być może ostatnie, godziny życia. Nikt nie wie, kiedy przyjdzie mu zginać, tym bardziej oni. Z tego powodu urządzali imprezy, przy których starorzymskie orgie były zaledwie dziecięcymi harcami. Szalona muzyka, tańce, dzikie wrzaski, hulanki, nieprzyzwoite śpiewy i swawola. Do białego rana, do utraty sił. Do zatracenia się i zapomnienia choć na chwilę, że rano czeka ich morderczy trening, a wieczorem może przyjdzie gryźć piach.

W tych szaleństwach prym wiodła coraz bardziej mająca się ku sobie para; Mściśław i Migdalina. I choć pozostali nie byli gorsi w wymyślaniu nowych form rozpusty, plotkom nie było końca. Niektóre pokrywały się z faktami, inne, jak przystało pogłoskom nie miały w sobie ani krzty prawdy. Jednej nocy doszło nawet do tego, że pewien kot łapał nie swoje nogi i nikt nie zrozumiał o co chodzi.

Wierność i przyjaźń Czesława zostały wystawione na ciężką próbę. Zaniedbywany cierpliwie wypatrywał swego pana. Tych porannych powrotów musiał też i za Mściśława się wstydzić.

Wcześniej czy później musiało do tego dojść. Nie dojdzie się teraz już kto pierwszy zaproponował wspólny wyjazd. Mściśław znużony miejskim życiem, od dawna nosił się z zamiarem wypadu w jakąś dzicz. Prawdziwych motywów Migdaliny, jak każdej kobiety, nie sposób rozwikłać. Obojgu brakowało jedynie przekonującego powodu, by wyrwać się z sieci krępujących konwenansów.

Gdy ktoś, nieopatrznie w obecności i trzeźwości Mściśława, opowiedział o grasującym w pobliskich górach niedźwiedziu-ludojadzie kłamka zapadła. Pomiędzy kolejnym zapewnieniem, że lubi dogadzać męskim żołądkom oraz ostrzeżeniem, że potrafi być nachalna, Migdalina spytała czy może jechać z herosem.

Od razu się zgodził. Pochopne decyzje leżały w jego naturze.

Bóry jak to góry. Groźne, skaliste, wyniosłe. Ośnieżone na szczytach i zalesione na zboczach. Nic atrakcyjnego, jeśli nie potrafi się tego dostrzec.

Przemierzająca wysokogórskie szlaki para wyglądała przeuroczo. Wtulona w mocarne ramiona niewiasta promieniowała szczęściem i obdarzała nim wszystko dookoła. Mścisław był z siebie bardzo dumny, ale i było mu jakoś tak niewyraźnie. Jako człek prosty nie umiał nazywać swoich emocji. Tym bardziej wobec nich się dystansował. Nie, żeby mu było źle, ale czuł, że dzieje się z nim coś dziwnego.

Najbardziej zadowolony z wyjazdu był Czesław. Jego żywa natura zmuszała do poszukiwań nowych wrażeń. Parskał tylko na to, że oprócz Mścisława musi wozić jeszcze dosiadającą go na dziewczynską modłę Migdalinę. Jako mądre i ufne zwierzę posiadał dar wypracowania kompromisów, więc i tym razem dogadał się z ludźmi.

Czas jak to miał w zwyczaju mijał równie szybko, co przyjemnie. Może właśnie dlatego niepostrzeżenie.

Oczywiście, Mścisław nie byłby sobą, gdyby ot tak, przy okazji nie dokonał kilku nowych czynów chwalebnych. Sagi i zbiory opowiadań muszą mieć przecież swoje źródła.

Do dziś wśród górskiego ludu opowiada się dzieciom, gdy są dostatecznie grzeczne, o tym jak Mścisław porzucił(!) swoją wybrankę i samotnie (bez Czesława!) poszedł przeganiać Złego. Licho bowiem zagnieżdziło się wśród turni i pożerało pasterzom owce. Nikt nie wiedział gdzie ma swoją norę i lękano się bardzo.

Przygoda, jaka spotkała Mścisława, była jednak zupełnie odmienna od tej, o której bajarze bają.

Dzielny pogromca nie został śmiertelnie rany, nie przepłynął ponad szczytami na chmurze (taką wersję podaje jeden z eposów), nie walczył z bandą górskich trolli, nie stoczył też pojedynku z owcolubnym demonem, podczas którego trzęsły się wierzchołki gór. Złym Lichem okazało się być lichy przygotowaną mistyfikacją. Owce zjadali sami pasterze, którzy za dużo wypili. Bali się przyznać gaździe i wymyślili krwiożerczą istotę, żeby było kogo winić. Rozwikłanie tej zagadki nie przyszło Mścisławowi łatwo. Musiał cały dzień nałazić się po perciach, wąwozach, i wierchach. Trzy razy zabłądził we mgle i mało nie spadł w przepaść, aż w końcu dotarł do obozowiska pasterzy, którzy zdradzili się sami, częstując sponiewieranego bohatera świeżo pieczoną baraniną.

Kiedy już wrócił do zdenerwowanej jego całodzienną nieobecnością Migdaliny podzielił się z nią nowo nabytą mądrością: wszystkie szczyty są takie same, tylko widok z nich inny. Jej nie interesowało jednak ani to, ani finał przygody ze Złym. Woląla zrobić zmęczonemu i

wygłodniałemu Mścisławowi kolację. Górskie powietrze wzmagają apetyt, a ten z kolei uwielbia wzrastać wraz z jedzeniem.

Pośród codziennych radości i atrakcji prawie zapomnieli, że nie przyjechali w góry wyłącznie dla przyjemności. Los nie zamierzał komuś popuszczać, a tym bardziej zezwolić na zbadanie swoich wyroków. Co komu przeznaczył, wcześniej czy później musiało się wydarzyć.

Jednak z żebraków, jakich pełno w miejscowościach wypoczynkowych okazał się tak namolny, że Mścisław zmiękł (również pod spojrzeniem Migdaliny) i dał mu trochę grosza. Z wdzięczności biedak powiedział, że wie gdzie ma swoje leże niedźwiedź-ludojad i chętnie to miejsce pokaże. Oczywiście, za drobną opłatą.

Z pełnym niedowierzaniem śmiechem ale się zgodzili. Umówili się z żebrakiem, że wyruszą jutro skoro świt.

Wpierw poprowadził ich przez malowniczy wąwóz, potem brzegiem strumienia, który swoją ciepłotą dorobił się pięknego kanionu. Następnie droga wiodła już tylko pod górę. Migdalina trochę opóźniła marsz, narzekając w nader sposób kobiecy. Nie przeszkodziło to jednak w dotarciu na szczyt, z którego rozciągał się taki widok, że nawet lęk wysokości dostawał wytrzeszczu oczu z zachwytem.

Szlak i wólcę wiodły potem w dół, poprzez nieprzychylny obcy las. Czesławowi podobało się, bo okolica przypominała mu ojczyznę - krainę Nistadnizowąd.

Gdy już kompletnie nie wiedzieli gdzie są, przewodnik powiedział, że albo płacą, albo on nie idzie dalej. Wkurzony takim draństwem Mścisław wysunął miecz z pochwy i byłby go niechybnie użył, lecz łachmyta wziął nogi za pas. Czmychnął między drzewa i więcej opowieść o nim milczy. Z pewnością źle skończył.

Zbliżała się noc. Migdalina wyraźnie osłabła i tylko miną nadrabiała. Na barkach bohatera spoczęła odpowiedzialność. Wzruszył nimi, jakby chciał sprawdzić, czy dobrze leży. Nie przejmował się zbytnio. Urodził się przecież, by przewycięzać przeszkody.

Nie zdążył się więc Mścisław dobrze rozejrzeć, ani głębiej zastanowić, a zza ogromnego pnia wyłonił się równie potężny mąż. Sadał wielgachnymi krokami wprost na zostawioną w lesie trójkę. W dłoni dzierżył siekiere. Gdyby nie ten gadżet Mścisław wziąłby zbliżającą się postać za niedźwiedzia. Nadchodzący był obrośnięty kudłami tak gęstymi, że trudno było odróżnić, gdzie kończy się okrywające go futro, a gdzie zaczynają naturalne włosy.

Pierś Mścisława stanowiła jedyną zaporę między dziką postacią, a znieruchomiałą ze strachu Migdalina. Brzęknęła dobywana z pochwy klinga. Czesław pochylił kształtny łeb, by w razie czego wspomóc przyjaciela.

Zbliżający się człek przystanął, wziął pod boki i zaśmiał rubasznie. "Naprawdę myślisz, że możesz mi coś tym scyzorykiem zrobić?". Z trudem przyszło Mścislawowi przełknąć obelgę. Przeżywanie jego na wskroś magicznego miecza scyzorykiem, było najgorszą z możliwych. Zachowanie intruza przeczyło jednak jakimkolwiek krwiożerczym zamiarom.

Po kolejnych słowach włochaty stwór okazał się człowiekiem nad wyraz życzliwym i łagodnym. Gdy w towarzystwie zagościł bez trudu wypracowany consensus, zaprosił wszystkich pod swój dach. Przecież damie - jaką niewątpliwie była Migdalina - nie godzi się spać pod drzewem. Zapewnił, że miodu i potrawy z purchawek nie zabraknie. Jak na prawdziwych wczasowiczów przystało Migdalina, Mścislaw i Czesław, poszli za Cisem - takie imię nosił poznany wyrwidąb.

Podążyli górską ścieżką nie więcej niż trzy staje, nie stając ani razu. Rozmawiali niewiele, bo musieli podążać gęsiego. Wieczór gęstniał wśród drzew, a Migdalina przysypiała na grzbiecie Czesława.

Dom drwala okazał się chatą, o której marzy większość mieszkańców miast. Cały z drewnianych poprzetykanych mchem bali. Ze spadzistym dachem, obłożonym świeżym gałęziami. Stał naturalnie na polanie jak się patrzy. A jak się patrzyło, to widać, że gospodarz rządzi tu dobry. Wszystko zadbane, na swoim miejscu i we właściwych proporcjach. Żadne zwierzęta nie zakłócały panującej harmonii, ale jak Cis sam wyznał wyżej nad kury, psy czy kozy cenił sobie leśny zwierzyniec.

Wnętrze chaty było też dokładnie takie, jakiego należało się spodziewać. Akuratne, surowe, zadbane i przytulne. Parę niezbędnych sprzętów, skóry, futra. Każdy kąt przepełniony leśnym zapachem. Na kominku, dodając uroku sytuacji płonął mały ogień. Fotel bujany zapraszał, by na nim się usiąść. Niedbałość nie miała tu czego szukać.

Migdalina ledwo coś tam z posiłku uszczknęła, wypła trochę ziół zamiast miodu i zaraz usnęła, zwijając się w kłębek.

Wytrzymałszy i wytrwalszy także w nocnych dysputach Mścislaw dotrzymywał towarzystwa gospodarzowi. Wypadało przynajmniej dobrym słowem i kulturalną rozmową wynagrodzić Cisowi za gościnę. Nim na dobre zasiedli do nocnych rozmów Mścislaw oporządził Czesława, przyłapawszy się mimochodem na tym, że ostatnio poświęcał jednorożcowi coraz mniej czasu.

Miło było opowiadać o tym, co wydarzyło się kiedyś i o rzeczach, które mogą, ale nie muszą nadejść. Cis wypytywał herosa o jego przygody i powód, który sprowadził go w te rejony. Mścislaw ze swej strony odpowiadał chętnie, bo miał się przecież czym chwalić, na pytanie, co go tu przywiodło nadmienił o groźnym niedźwiedziu.

Cis zaśmiał się rubasznie i serdecznie, po czym rzekł że zna tego okrutnika, bo go tu często odwiedza. A czy misiek, rzeczywiście na miano ludojada zasługuje miał Mścislaw sam ocenić. Wpierw niech historii wysłucha.

...Tu na pograniczu, pośród gór, wąwozów i puszczy nieprzebytych zawsze coś się może wydarzyć. Raz złego, raz dobrego.

Jednego dnia, kiedy wiatr gnał po niebie chmury wedle własnej ochoty, zwierzęta nie wiedzieć czemu pochowały się po kryjówkach, a powietrze zrobiło się ciężkie i duszące. Tego dnia, miły panie, myśmy już wiedzieli, że coś niedobrego się wydarzy. Za długo tu żyliśmy, by znaki na ziemi i niebie lekceważyć.

Nie trza było długo czekać, bo jeno do nocy. Cisza, trwożliwsza niż zwykle się zdała i kiedy wycie posłyszeliśmy, każdy jeden się pobudził. Nie mieszkałem wtedy sam jako dziś, ale z synkami moimi i nieboszczką Dobrochną, we wsi pośród ludzi...

...Ale ja nie o tym chciałem... - po chwili się opanował.

...Kiedy więc zew straszny pośród gór się ozwał, wiedzieliśmy co oznajmia. Wróg nienawistny szedł. Jezdni, co mowy ludzkiej nie znają. Jeźdźcy ogromni i okrutni. Wojownicy bez litości, którzy za rumaki nie konie, czy insze cywilizowane zwierzęta mają, lecz wielkie wilki. Psy szatańskie raczej, co w zadawaniu śmierci zajadlejsze są od swoich panów...

Zasłuchany Mścislaw aż się obruszył, gdy tyle złych nowin zasłyszał. Byłby się zerwał, za miecz złapał, ale jedno spojrzenie na Migdalinę, która na posłaniu słodko spała i gniew swój pohamował.

Oni to, wilczy jezdni, co czas jakiś nasze domostwa najeżdżali. Nikt nie wie skąd pochodzą, więc i chwili nadejścia nie sposób przewidzieć. Okrucieństwo ich poznaliśmy aż za dobrze. Nie raz, nie dwa chałupy popalili, ludzi wycięli, strach jeno i pożogę ostawili. Ale tamtego razu, kiedy zawodzenie bestii posłyszeliśmy, wpieryw lęk nas zdjął, by zaraz w słuszny gniew się przemienić. Kupa nas mocnych chłopów była. Każden jeden - tęgi drwał. postanowiliśmy się w górach na najeźdźców zasadzić. Zaraz się nas kilkudziesięciu najodważniejszych zebrało. Broń, jaką kto miał, przyniósł. Poniektórzy mówili, że lepiej po domach siedzieć i wroga nie drażnić. Wyśmiali my ich i kazali z babami w chałupach zostać. Ja z synkami moimi na wroga iść chciałem, choć Dobrochna lamentowała. A wiedzieć ci trzeba panie, że dobra z niej kobieta była. Matka i żona przykładna, gospodyni zaradna. Nie dziw tedy, że synów kochała i na stracenie puścić nie chciała. Obowiązek jednak ważna sprawa i gdyby my nie poszli, to by nas w chałupach, jak tych nie przymierzając psów zatłukli! - Uniósł się Cis. Wspomnienia widać wciąż w nim żywe.

- Ruszyliśmy tedy hordzie na spotkanie. Szliśmy noc całą przez te lasy, które ojczyzną najmilszą są naszą. Choć siła nas chłopą była, kroku jednego byś nie usłyszał. W marszu zszedł nam i cały poranek. Aż do południa z nikąd niebezpieczeństwa nie zaznaliśmy. Dopiero koło Doliny Wyzdychowej, nad którą szczyt Szczerbaty się wznosi, doszło nas wycie zwiastujące najgorsze. Nie minęła jedna zdrowaśka... - dostrzegł zdziwienie na mścislawowym licu i połapał się zaraz w czym rzecz - ...to takie u nas czasu miarowanie, pozostałe po inszych najeźdźcach. Ale o tym, inną razą... - wyjaśnił Cis uprzejmie, miodu łyk tęgi pociągnął i powrócił do minionych zdarzeń. One to, za sprawą słów szczerych do życia powracały...



Wilcy wyc poczęły, pianę z pysków toczyć i rwać ku nam. My, choć lud prosty, to nas ojcowie w ciemię nie bili stanęliśmy, jak jeden mąż ramię w ramię. Po obu bokach synków miałem, nie zlekli się oni, o nie. Zaskoczenie widać było po wrogach naszych, bo stanęli, coś między sobą radzili, szponiastymi łapami wskazywali. Dużo ich było. Pierwej pomyślałem - za dużo. Jak im się jednak dłużej przypatrzeć, to mimo strojów swoich dziwacznych, mimo broni groźnie błyskającej, języka szczekliwego i pysków raczej niżli twarzy, mimo sylwetek zgarbionych i pokręconych można było się w nich coś ludzkiego dopatrzeć. Może i oni od człowieczego potomka pochodzą?

Strachu nikt z nas po sobie nie pokazał. Synkowie moi mili, oba dwa krzepy jako te młode dębczaki, popluli solidnie w ręce i mocniej chwycili styliska. Nie pytali; "ojciec prac?", bo nie mieli zamiaru prac. Przyszli zabijać, bronić swojej ziemi i praw do życia. Nie straszno mi było, choć zgraja zbrojnych litości nie znała. Mgnienie jedno może staliśmy na przeciw siebie. Potem na gest najwyższego, pewnikiem wodza, tamci hurmem natarli. Dzicy, straszni, lęku nie znający. Gnając wrzask podnieśli, wilcy im zawtórowały. Ani o krok się nasz pierwszy szereg nie cofnął, choć nie jeden ze stojących na przedzie duszę miał na ramieniu. Błysnęło ze sto siekier i byliśmy gotowi wroga przywitać.

Runęli na nas, nie dając chwili na zebranie myśli. Na podobieństwo wzburzonego strumienia uderzyli. My drwale swoją robotę dobrze znamy, jeno teraz inne drzewo przyszło rąbać. Mieczami i dzidami kłuć nas zaczęli. Wilcy szarpać kłami i rwać pazurami. Paru naszych potracili. Co jeden z naszych poległ, zaraz któryś z tylnego szeregu go zastępował. Trzy razy nacierali i po trzykroć uchodzili z podwiniętymi ogonami. Myśmy wtedy rannych swoich i ciała poległych na tyły brali. Oni swoich zostawili, bo nie ludzkie aleć zwierzęce obyczaje u nich panowały. I zdało się, że los nam zwycięstwo podaruje, bo szeregi jeźdźców stopniały, a myśmy wciąż niewzruszonym murem stali.

Wtedy to stało się coś straszego. Przewidzieć tego nie było sposobu, nikt z nas rady nie znał... - zadumał się przez moment Cis. Mścislaw, nie chcąc nalegać, miodu do obu kubków nalał. Z napitkiem powróciła i ochota do opowieści.

- Widzi mi się, że czarowników wśród siebie mieć musieli. Jak się ostatni raz cofnęli, to nie natarli ponownie, a jeno w kupie stanęli i coś tam między sobą rajcowali. Nie minęło wiele czasu, a na niebo chmury czarne zaszły, wiatr począł z szatańskimi psami pospołu wyc. Trwoga w nasze serce się wkradła, bo my naród na czarach się nie wyznający. Zara też i tamci zaatakowali. Silniej, bo im moc nieziemską siłą dodała. Pośród nas gęsciej trup się ściełał. Chocia siekiery z taką samą mocą pracowały, jeźdźcy zaczęli pole zdobywać. Najgorsze jednak dopiero miało nadejść. Czary nieznanne sprawiły, że strach nie jednego z naszych zdjął. Słabsi duchem oręż opuścili i o łaskę prosili. Litości nie zaznali. Z przegryzionymi gardłami żywot kończyli. Część chłopów wciąż walczyła, razy śmiertelne zadając. Aleć mur przerwany został i wilcy pojedynczo nas dopadali.

Jam z Gniewkiem i młodszym Budziszem o plecy się wzajem wsparli i prędzej zginać, niż pierzchnąć czy o zmiłowanie błagać woleli. Nie wiem jak inni, myśmy z całych sił wroga siekli w pogardzie rany mając. Osaczyli nas dookoła. I tak byśmy nie uciekli, bo to hańba sromotna. Ciało wokół nas przybywało. Ręce nam słabły. Pierwszy pod ciosami wroga padł starszy. Dzidą przeszyty byłby upadł, ale go Budzisz ramieniem wsparł. Tedy miecz na jego głowę spadł. Serce we mnie zamarło. Straszna to boleść dla ojca na śmierć dzieci patrzeć.

Gniewko wyszeptał jeszcze "Powiedźże tatku mateczce, myśmy to dla niej i żeśmy nie stchórzyli..." ...takoz zginęli synkowie moi kochani.

Wielki był mój żal i żalność. Bo daj baczenie młodzieńcze, że dopiero kiedy bliską osobę utracisz, wtedy prawdziwe oblicze samotności poznajesz.

Aliści nie było sposobności do płaczu. Gniew silniejszy był od trwogi. Mścić i zabijać te parszywe kundle chciałem, choćby i samemu przyszło zginąć. Sam nie wiem, jak długo psów zdradzieckich rąbałem, w końcu ramię omdlało i czarny miecz dłoń mi odraubał...- na dowód swoich słów pokazał Mścislawowi kikut zamiast lewej ręki. Bohater, mimo że nie jedną ranę i kalectwo widział, a sporo sam ludziom uczynił zrobiło się nieprzyjemnie. Pokiwał potakująco głową i odwrócił wzrok. Wolał słuchać niż patrzeć. Było coś nieuchwytnego w głosie drwała, jakaś szczerłość, przekonanie takie, że wierzyło się w każde słowo.

...padłem między inszych. Czy wilcy za martwego mnie mięli, czy nie wartego dobicia nie odgadnę, bom przytomność zatraciłem. Nie wiem, jak długo leżałem koło synków moich. Lepiej by było, bym się z tego snu nie zbudził. Inaczej jednak bogowie pisali. Umrzeć, ani z ran, ani z boleści nie dali.

Ze świata duchów po zmroku powróciłem. Jeno, by innego ducha napotkać. Błękitny miesiąc wysoko już stał na niebie, jeźdźców ani widu, ani słyhu. Trupy dokoła. Wyjątkowo zgodliwie; druhowie nasi, wilcze psy i ich diabelscy panowie. Niektórzy zastygali w pozach takich, jakby się obejmowali. Powiadam ci, szlachetny panie, śmierć jednako sprawiedliwa dla wszystkich i z najcięższych nieprzyjaciół druhów uczynić potrafi.

W takiej to scenerii powróciłem, jakem rzekł do zmysłów i mało ich nazat nie zatraciłem. Między ciałami stała panna jakaś. Urody jej w niczym nie brakło, w giezło czarne ubrana. Głosem wysokim zawodziła. Te jej jęki o ciarki mnie przyprawiły. Widziało mi się że to wampirzyca, albo co gorsze strzyga do pobojowiska żarła szukać przyszła. Szczęściem swój amulet do uroków chroniący miałem. Wiewiórczy ogon od dziecka mnie przed złem bronił, nie pozwoliłby diablcy w upiora Cisa przemienić.

Zamarłem i patrzyłem jeno, co też czynić będzie. Choć męki od upływu krwi i ran cierpiałem, nie chciałem dać się wszetecznicy choćby dotknąć. Przekleństwo i myśli czarne potem na życie całe pozostaje.

Znać jednak, że dostrzec mnie musiała. Zawodzić przestała. Stanęła kroków kilka dalej i tak jakoś smutno patrzyła. Oczy miała wielkie i świejące jak u kotów. Włosy prawie do gibkiej talii jej sięgały. Wypatrywałem tylko, kiedy kłami błysnie i skoczy ku mnie. Futerko - tarczę moją - mocno w rękę dzierżyłem, bo ta jedyna obrona mi pozostała. Tamta, miast tego odezwała się, i miłość dziwna z jej głosu taka płynęła, że prawie jej uwierzyłem. Mówiła, a ustami nie ruszała. Straszno, ale i jakoś bezpiecznie się zrobiło...

- Co takiego mówiła? Czyniła jakieś czarostwa? - zniecierpliwił się Mścislaw.

- ...Gadała, żebym się nie bał, że duchem gór jest i straż tu trzymać ma obowiązek. Boleje nad najazdami wilczych, którzy zawsze rany straszliwe zadają, i że, skoro my naród dzielny rady im dać nie mogliśmy nadszedł czas zemsty.

Długo o sprawach, na których się nie wyznaję prawila: o bogach, prawości, równowadze czy równości, a na sam koniec o sprawiedliwości. Niewiele pamiętam bo i mało pojmowałem. Prawda jest taka - ufać jej zacząłem.

Kiedy skończyła mowę tajemną, a ja głupiec nie ośmieliłem się przerwać, rzekła bym klęknął. Znów, jak otepiały posłuchałem. Położyła mi dłonie, delikatne i dziwnie białe, na głowie. Dreszcz mnie przebiegł, ale ochoty uciekać nie miałem. "Powtarzaj za mną" rzekła i mówić zaczęła w języku mi nieznanym. Cóż mi było czynić? Powtarzać, jak kazała powtarzałem, choć ani jednego słowa nie znałem.

W miarę jak padały formuły tajemne, czułem, że coś dziwnego ze mną się dzieje. Jakem otworzył oczy, bo je ze strachu mocno zawarłem. Jakem więc, po sobie spojrział, to nie wiedziałem czy żyję, czy śnię, czy umarłem, czy oszaleć mi przyszło! Nie byłem już człowiekiem, stałem się niedźwiedziem! Umysł człeka mi pozostał, ale ciało zwierza. Wielkie i mocarne. Nie powiem, że mi to w smak było, choć i źle się w nowej skórze nie czułem. Takie to czary dobra dusza naszych gór czynić umie!

"Idź, zawezwij braci i odwet weźcie!" Takimi to słowami mnie pożegnała, bo kiedym łeb kosmaty spuścił, by łapom się przyjrzeć duszyca zniknęła, szmeru najmniejszego nie czyniąc. Jeśli wrogowie usłyszeli mój ryk, to pewnikiem ze strachu ogony podkulili. Nowe gardło bardzo donośne otrzymałem.

Nie wsmak mi było dłużej na poległych patrzeć. Ruszyłem śladami wroga. Wyprzedzenie spore mieli, do nowej postaci jeszcze nie zwyczajny, no i rana dokuczała, szedłem wolniej, ale wciąż do przodu.

Nim słońce wstało słabość mnie ogarnęła. Myślałem, że to od rany i dalej lizać. Nie pomogło, z sił opadłem i powtórnie omdlałem. Zbudzony chłodem poranka znów - dasz panie bracie wiarę?! - człowiekiem się stałem. Nagusieńkim jak nieboskie stworzenie, A obok - niedźwiedź. Musiał mnie strzec chyba, bo ja wiem, żeby mi co złego się nie stało. Nie byłoby to dziwne, gdyby obok nie stał drugi.

- Jakże to? - wiele już Mścislaw w życiu przeszedł, ale takich dziwów nigdzie nie napotkał.

- Nie dajesz wiary? To nie koniec jeszcze... słuchaj...

W nocy w postaci miodojada stadem przewodziłem, w dzień jako człek kryć się musiałem. Parę razy wilców okrutnie pobiliśmy, ale i one dłużne nie pozostały.

Po podchodach takich zapragnąłem dom rodzinny odwiedzić. Może lepiej było tego nie robić. Do wioski podszedłem, wpierw obaczyć z lasu jak się ludziom wiedzie. Dymy zrazu mnie nie zaniepokoiły... - przerwał.

- ... całą wioskę z dymem puścili, a Dobrochna... - odwrócił głowę. Może łzę chciał ukryć, może gniew zapiekły.

Tyś jeszcze młody, nie powinienem ci takich rzeczy opowiadać... - skąd mógł wiedzieć, jakie niegodziwości Mścislaw widział, a ilu sam się dopuścił?

...włóczyniami do stodoły przybita. Mocno się z nią zabawiać musieli...

Żywym nikogo nie znalazł, powróciłem tedy do stada i dalejże na wroga nienawistnego! Nie dopadli my ich już, czmychnęli w leże. Policzyłbym im ja wszystkie krzywdy, policzył...

Zemstę po wsze czasy poprzysiągłem, na leśną armię zawsze liczyć mogę, a dopóki serce w piersi bije czekać na wilców będę. Przyjdą oni, niechybnie przyjdą. Teraz co mi pozostało? - zapytał ni to siebie, ni to Mścisława.

- Siedzę ja w borze sam, drzew doglądam, z niedźwiedziami i inszymi stworzeniami się bratam. Nie tęskno mi do ludzi. Wszystkich, których ukochałem potraciłem, więc tu moje miejsce. Jak kto mnie czasem odwiedzi - jako i wy - ugoszczę, wieści posłucham. Jeśli o złych ludziach się dowiem wtedy biada, bo Jednołapy wciąż silny i karę wymierzyć umie. Ludziska zapomnieli o drwalu Cisie, osadę nową postawili, ale legend swoich się nie wyprą i pamiętają, kto w górach rządy sprawuje i porządku strzeże. Prości to ludzie i dlatego wierzyć muszą, że jest sprawiedliwość na tym świecie.

- Czemu mnie akurat to wszystko opowiadasz? - Mścisław nigdy nie był zbyt bystry, takóž i teraz.

- Dobrze ci z oczu patrzy. Ja już stary jestem, umierać wkrótce czas przyjdzie. Ktoś niech tajemnicę moją pozna. Ty rycerz wielki jesteś, serce masz szlachetne. Bardziej o innych niż o siebie dbasz - wskazał głową na śpiącą Migdalinę. - Nie zdradzisz komu nie trzeba, a sam dobrą naukę wyciągniesz.

Na takie słowa Mścisław nic już nie odrzekł. Prawdę rzekłszy wstyd mu było tak, że gdyby mógł zapadł by się pod ziemię.

Wraz ze świeżym porankiem zbudził się i szlachetny Mścisław. Podniósł głowę ze stołu i od razu spojrzał na Migdalinę.

Czy pod wpływem słonecznych promieni, czy też rozmówienia się przebudziła. Przetarła cudne oczy, przeciągnęła się, niby dziewczynka. Pocałunkiem na dzień dobry poprawiła mścisławowy humor.

Jedno jej się nie udało. Odwieść go od wcześniej powziętego zamiaru.

Po szybkim śniadaniu jeszcze szybciej zebrali swój skromny dobytek i opuścili chałupę drwala. Mścisław oprócz niezbędnych poleceń nic nie mówił, Migdalina obawiając się gniewu wołała nie pytać. Dosiedli Czesława, który również jakoś krzywo się na to wszystko zapatrywał. Na podwórzu natknęli się na powracającego z nocnej wycieczki Cisa. Uprzejmie pożegnali się i podziękowali za gościnę. Drwał wskazał im drogę, rzekł, że gdyby jeszcze kiedyś zawitali w te strony, to zawsze u niego nocleg znajdą. Rzucił serdeczne "bywajcie!", i pomachał zdrową ręką odjeżdżającym.

Oprócz zwyczajowych uprzejmości, para nie odzywała się wcale. Jednorożec był co najmniej tak zasepiony jak Mścisław. Jeśli nie bardziej.

Żeby sobie wynagrodzić górskie niepowodzenia wybrali się nad pobliskie morze. Tamże zażyli wypoczynku i wreszcie mieli czas na swoje fantazje. Jak zawsze i wszędzie były gladiator musiał się czymś wsławić, ale nowe czyny dokonywał jakby mimochodem i były wątpliwej miary. (W złości chciał wydusić trójkę dzieci, z którymi przyszło im podróżować.) Nade wszystko cieszyła go obecność i poprawa zdrowia Migdaliny. Wskazywało na to, że i ten wspinały i opisywany w wielu sagach i poematach wojownik ma ludzkie uczucia. Trzeba je było umiejętnie wzbudzić. Potrafią to niewiasty. One mają coś w sobie. Niekoniecznie próżność i zazdrość.

W wybornych humorach, choć trochę sfatygowani podróżą powrócili do Fengu, z którego wyruszyli, w odpowiednim terminie, by Mścisław mógł zakończyć ciężący na nim kontrakt.

Gdy tenże miał dobiec końca, plany co dalej zostały powzięte. Pokrzyżować je mógł najzłośliwszy z demonów - Bylepretekst.

po powrocie czekała obojga jeszcze większa niespodzianka. Dobrze zrośnięta ręka sprawiła, że walki szły Mścisławowi łatwiej i ciekawiej. Podwyżka cieszy wszak każdego. Najważniejsze jednak było, że wujostwo nadobnej Migdaliny zostawiło na czas jakiś dom nad malowniczym jeziorem. Nie trzeba dodawać, że od razu tam się przeprowadzili. Nikt nie widział w tym nic zdrożnego. "Zwyczajne to wśród młodych, którzy mają się ku sobie" - jak mawiają hobbici stanu swobodnego.

Mścisław w dzień więc ciężko pracował, a w nocy... Tym razem kot nie miał już nic do powiedzenia. Jedyne co mu pozostało to umrzeć siedem razy pod rząd.

Tak chwile błogie płynęły i płynęły. Trwały by pewnie do dziś gdyby nie zapatrzenie się Mścisława w siebie i zbytnią płochliwość Migdaliny.

Nie każdemu jest jednak zajrzeć dostatecznie głęboko w głąb swej duszy. Zresztą, nieświadomość jest czasem znośniejsza. Mścisław miał ciężki orzech do zgryzienia. Oby zębów nie potracił! Nie dostrzegł kiedy coś zaczęło iść nie po jego myśli. Myśl o najgorszym - rozstaniu odpędzał, niby natrętną muchę. Udawało się, ale tylko do czasu.

Nadszedł krytyczny wieczór. Padły słowa, który wcześniej czy później musi usłyszeć każdy, kto chce uchodzić za mężczyznę.

Jeszcze chwila wahania, jeszcze ostatnie wielce znaczące spojrzenie i przyszła pora się obudzić.

Porywczy Mścislaw do napraszających się nie należał. Stać go było na ostatni pocałunek, krótkie "raczej nie". Obrócił się na pięcie i odszedł tym swoim wiecznie (za) szybkim krokiem.

Odwrócony plecami nie musiał się wstydić pierwszych w życiu łez. Rozstania nie należą do łatwych przeżyć. Mają jednak i pewną zaletę - uodparniają.

Tu opowieść pozostawia nadobną Migdalinę, by więcej o niej nie wspomnieć.

Dotychczasowy ulubieniec kobiet nie poszedł szukać ukojenia w ramionach fanek. Poszedł do knajpy, schlał się tak, że gotów był zabić każdego, kto odważyłby się krzywo spojrzeć. Do głowy przychodziły głupie pomysły. Karczmarz, gdy tylko Mścislaw zażądał, przyniósł przybory do pisania. Bohater długo rozmyślał nad czystą kartą, a jeszcze dłużej pił. W końcu stworzył. Jeden wielce sentymentalny, ale zawsze wiersz:

Zasuszyłem sobie tę

różę,

której nigdy od ciebie

nie dostałem

Za czym kartkę podarł, cisnął w ogień. Wypił dwie siwuchy i wdał się w bójkę taką, jakiej najstarsi bywalcy nie pamiętali. Dopiero nad ranem strażnicy miejscy - wielkie nizinne trolle - sprzątnęli wszystkich poszkodowanych. Nie było wśród nich Mścislawa, bo ten jak co dzień poszedł do pracy. Jak zwykle się nie spóźnił.

Stało się z Mścislawem coś dziwnego. Zaczął popadać w skrajności. Trzy razy pod rząd w niekontrolowanym gniewie i złości wyciął wszystkich innych gladiatorów w przeciągu niecałych pięciu klepsydr. Zawiedzeni brakiem emocjonujących długich pojedynków prości ludzie przestali przychodzić na spektakle. Trzeba było sięgnąć po największą atrakcję - dzikie

bestie. Te jednak, jako towary importowane, szkoda było oddawać na rzeź. Mścisław się zawziął.

Jemu samemu na nic zdało się zadreczanie. Myśli jakie były, takie pozostały. Za nic nie mógł wytłumaczyć sobie, że nikt tu nie jest winien. To jedynie przewrotność i niestałość znów spłatały mu figla. Uświadomił sobie, że dotknęła go jedynie złudna i pospolita samotność. Powróciły słowa Cisa. Powrócił też i zdrowy rozsądek.

Honor, godność, prawdomówność to straszne wady, wręcz staroświeckie, ale Mścisław nie zamierzał się ich wyrzekać. Z trudem przychodziło pogodzenie się z faktem, że wszyscy traktują się jak przedmioty. Wcześniej czy później przyjdzie zapłacić.

Mścisław nie znał nikogo, kto mógłby mu pomóc. Wieczorami błąkał się bez celu po mieście. Sam nie wiedział czego szuka. Pośród uliczek, w które strach było się zapuścić zwykłemu śmiertelnikowi, dotarł pod drzwi skądś mu znajome. Ledwie wszedł, a już wiedział gdzie jest. Przyszedł do cyrulika, który pomógł mu wtedy, gdy był z nią... ze złamaną ręką.

Stary człowiek od razu poznał się na tym, co dręczyło herosa. Spuszczona głowa, spojrzenie zaszczutego zwierzęcia, brak zdecydowania w gestach, łamiące się w pół słowa wyjaśnienia. Starzec przerwał Mścisławowi, który starał się coś wytłumaczyć nie mógł patrzeć jak męczy się ten szlachetny człowiek. W paru prostych słowach wyjaśnił mu to, na co inni marnują długie lata. Wlał na powrót nadzieję do mężnego serca, choć potrzebowało ono jeszcze uniwersalnego oszusta - czasu. Tym razem łupków nie dało się założyć. Pomoc była wystarczająca, chociaż Mścisław musiał się jeszcze wiele nauczyć.